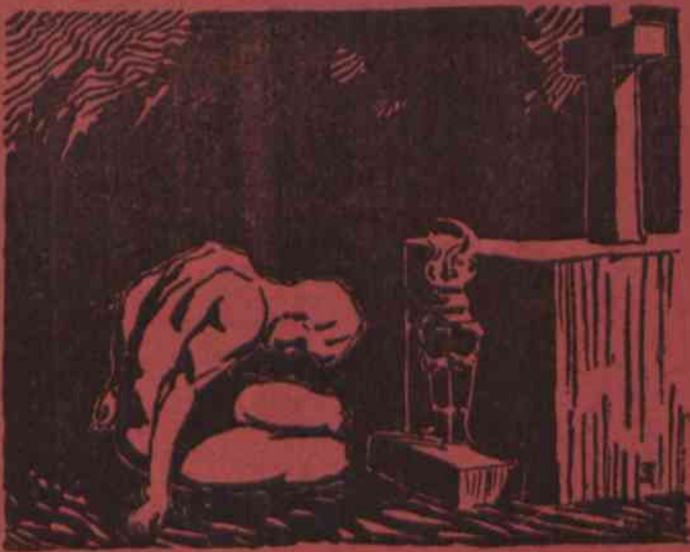


**ALEKSANDER R.
TANTALIDES.**

MEDÆ

LWÓW. — KSIĘGARNIA POWSZECHNA — 1906.

ALEKSANDER R. TANTALIDES.

MEDA

LWÓW. — KSIĘGARNIA POWSZECHNA. — 1906.

Zorzom ciemno-niebieskich
Twych oczu — poświęcam te pieśni...
Ty martwa...

Pyro siedział od dłuższego czasu na kozetce z głową na dłoni wspartą. Tysiące rozwichrzonych myśli snuło się w jego głowie. Obok niego Orsyd czytał po raz setny ten sam list:...

L... 12. listopada 1905.

„Niestety rozstać się musimy. Zawcześnie się przekonałam — i to nie! — Zawcześnie poczęłam o miłości myśleć — uczucie przyjaźni, czy sympatyi wzięłam za miłość...

Sądzę, że Pan to zrozumie — a może też i inna Panu mnie zastąpi . . . . .

Zapomnij Pan o mnie — i przebacz mi proszę.

Neczka.

Skończywszy, załamał ręce. Pyro wydobył z kieszeni różową kopertę, wyjął drugi list i podał Orsydowi, który począł czytać:

Tuchla 4. sierpnia 1905.

„Najdroższy mój skarbie!

Tuchla piękna. Lecz ja tego nie odczuwam, gdyż Ciebie tu niema.

Ty dodajesz życia... Ty ducha podnosisz. ...Jakże mi bez Ciebie smutno. — Topię się w tęsknocie... Pyro! Czy słyszysz mnie wołającą głosem bezgranicznej miłości i tęsknoty? Ach! usłysz i przybądź. — Twoje bobo Cię czeka, tęskni i kocha, kocha, kocha.

Neczka.

odłożył list, wyszeptał: — to straszne —!

Złamany na duchu Pyro, z rezygnacyą, począł narzekać — Boże! straszną sobie urządziłeś ze mnie igraszkę. — Popadł w zadumę. Orsyd siedział wpatrzony w fotografię Neczki, stojącą na stoliku; po chwili rzucił spojrzenie na Pyra. On tego nie przeżyje, myślał, on ją tak bardzo kocha . . . . Wiedział jak to boli . . . . przeżył i on coś podobnego, przeżył ten straszny cios, jaki mu zadała dumna Janka. Wiedział, że nie ma na to żadnego pocieszenia . . . . . . Wszystkie szczęśliwe jasne dnie Pyra stanęły mu przed oczyma. Przypomniał sobie, gdy on przybiegł do niego i powiedział mu, że poznał w ogrodzie Neczkę. Tydzień później opowiadał mu rozpromieniony, że siedzieli w ogrodzie sami . . . Spojrzałem na Nią — rzekł mi — była rumiana jak jutrzenka...

...Podniosłem Jej ręce do ust, nie cofnęła.

...Wówczas przytuliłem Jej małą główkę do piersi, — nie broniła . . . pocałowałem Ją w usta — — — ściskałem Ją, jak moją — spytałem: „Kochasz — chcesz być moją?“

„Twoją na wieki, twoją albo umrzeć“...

Zapomnisz — ozwał się Orsyd, — to przejdzie, wszystko w życiu przechodzi, nawet życie. —

...Z bolem w głosie wyrzekł Pyro: — Na zawsze, na zawsze zapomnieć!...

— Przechodzi, prawda — wyszeptał nieprzytomnie Pyro — może najpiękniejszem w życiu są dziecięce sny o szczęściu . . .

Umilkli . . .

Pyro zapalił papierosa i począł się wielkimi krokami po pokoju przechadzać . . .

— Chodź, przekonaj się — zaproponował Orsyd.

Na ziemię zleciał zmierzch skrzydlaty. Pyro siedział w swoim pokoiku. Nie wierzył, ażeby Neczka mogła o nim tak prędko zapomnieć . . .

. . . Widział w swej duszy złoty poranek lipcowy. Otoczeni zielenią, siedzieli w ogrodzie.

Piękna jak marzenie, w ręku trzymała róże a szept miękki, jak trzepotanie skrzydeł motylich sfrunął z warg Jej: — „kocham Cię, kocham na wieki — tak mi z tobą dobrze, mój, mój na wieki mój" —. . .

. . . . dokoła była niezmierna jasna cisza . . . .

. . . Ą dzisiaj był bezdennie smutny . . .

. . . Czuł się nieszczęśliwy, osamotniony, nie miał już nikogo dokoła siebie, źle mu było i ciężko na tym szerokim świecie.

. . . Otworzył okno . . . siadł . . . . . a zniżone ręce upadły bezwiednie na blade klawisze . . .

I poleciała muzyka zranionego serca ku gwiazdom — poleciała ta chmurna ballada, jak stado spłoszonych ptaków — i płynął ból z biednego serca jak kwilenie piskląt, gdy im ptasznik matkę odłączy od gniazda.

Skryli się przed deszczem do pobliskiej kawiarni. Siedli przy stoliku. Pyro rozpoczął analizować anamnezę swej miłości. — — Poznał Ją niedawno, podobała mu się — rumiana, jak ze snu wstające słońce — Jej włosy przykuwały go do Niej — biło z Niej uśmiechnięte, jasne szczęście, więc szedł do Niej — pragnął Jej — myślał, że z nadmiaru Jej szczęścia weźmie dla siebie jedno ziarno złote i będzie szczęśliwy, pragnął wejść w ten urzeczony światłokrąg Jej szczęścia . . .

. . . — Pijesz jeszcze? — zagadnął Orsyd.

Pyro podniósł na niego oczy i dziwnie wesół odpowiedział . . . Tak, piję . . . pić mi się chce... pić mam dzisiaj ochotę — — — — — — — — —

W powietrzu było parno. Szmat purpury na zachodzie zmiejszał się, nikł, na niebie zarysowały się ostre kontury chmur . . .

... Nastała wielka, uroczysta cisza, zasłuchana w głuchy odgłos piorunów, zbliżającej się ku smutnej męką konania wyczerpanej ziemi...

...Na wielkiej życiem i szczęściem znurzonej ziemi, nastała chwila krwawego ukojenia, by za chwilę znowu mogły rozbrzmiewać straszne ucieleśnione akordy brutalnego życia...

...Będąc bliskim przystani, do której zawijał po szczęście — czuł w tej ciszy bezprawie, jakie mu wyrządziło życie. Czuł się nieszczęśliwym i opuszczonym . . .

A wśród gasnącej ciszy, zawisł na niebie ironicznie uśmiechnięty piorun . . .

Ogromne srebrne krople . . .

A ziemia stała cicha i tylko duże, jasne krople rozśpiewały się o tej godzinie . . . . przyszły obmyć krew piorunem rażonego serca . . .

Zapomnieć! Zapomnieć jak najrychlej! Czuł węża tęsknoty, wżerającego się mu w serce, trawiącego mu wnętrzności i żłopiącego krew młodą. Zanikał prawie w własnych oczach. Stawał się lekki, a jednąk nieznośnym ciężarem przykuty do ziemi.

Niegodna była jego miłości! — powtarzał sobie tysiąckrotnie — napróżno. Przeklinał Jej imię, chwilę, w której Ją poznał i każdej chwili obraz Jej ust wiśniowych, uśmiechniętych, złotych fal Jej warkoczy.

Zapomnieć! Zapomnieć!

— Piękne jest stworzenie, ten człowiek. Mądre stworzenie! Kwiat esencya jego mądrości zawiera się w symbolu najszczytniejszym, przecudownym: kobieta. Wykładając na język prozy: pantofel.

He! he! mężczyzna żyje, ciągle nieprzepartym żarem płonąc ku kobiecie — dla zachowania gatunku. Tak chciał mądry los.

A ona: zmienia uczucia jak rękawiczki.

Zapomnieć! . . . Rzucić się w wir życia, a do niczego nie przywiązać duszy! . . .

Karnawał.

Wszedł do jasno oświetlonej sali, napełnionej gwarem i śmiechem. Złote dźwięki walca brzmiały rozkosznie, kołysały słodko duszę i przypływały do uszu jego, szeptając mu o jasnem, nieznanem szczęściu. Na każdym kroku migotały różnobarwne suknie, powiewały wachlarze, błyszczały namiętne spojrzenia i uśmiechy kobiet.

Rzucił się w ten wir . . . zapomnieć pragnął o swojem nieszczęściu . . . „Neczka“ zeszła mu na chwilę z pamięci.

Tańczył wesół . . .

...Przejdźmy się — zaproponował swojej danserce i podał jej ramię.

Drzała . . .

Spojrzał na Nią, była blada. Czuł, że w jego sercu po krótkiej ciszy, coś się napowrót budziło, coś zakwitało...

Przycisnął namiętnie Jej rękę. Z figlarnym uśmiechem podniosła na niego melancholijne, duże, ciemno niebieskie oczy — tonące w liljowym półmroku rzęs — oczy, z których bił wilgotny zapach bezsennych nocy księżycowych.

On patrzał w nie i czuł, że go przykuwają do siebie, jak zapach tuberoz, które wypieściła nocna rosa. Ona poznała w tej chwili ten mistyczny ogień, który on zapalił w Jej sercu, aby wiecznie gorzał, płomieniem zaziemskiej miłości . . .

. . . .

Na Jej młodej twarzy ścieliły się srebrne opary smutku i melancholii . . .

Oczy Jej świeciły jak gwiazdy zapalone na żaglu sinego nieba — przygasały i znów dymiły skrami — chwilami były zwiędłe, jak ołowiane chmury jesienne.

...Szła, jak najświętszy Sen Życia, jak złota bajka i niosła kryształowy roztruchan pieśni o Zapomnieniu i Szczęściu.

Szła . . . .

Wstąpiła w chram jego duszy bezdomnej już i bezimiennej z nową piosenką o szczęściu,

...Szła z pieśnią o szczęściu na ustach — szła wyniosła, blada, szła jak sen spłoszony i smutno . . .

Blada była i smutna jak wiośniany pierwiosnek, złoty jak ranek słoneczny, namiętna jak odurzający zapach sadów wiśniowych na wiosnę — cicha jak roziskrzona noc gwieździsta . . . i święta była, jak ofiarny dym upojeń i wzlotów do słońc nieznanych, dalekich — cicha, jak skrzydlata dumka, spływająca w odwieczny bór świerkowy w świętą godzinę — o zmroku. —

. . . Spotkali się . . .

Szli w milczeniu . . . Weszli w las . . .

Usiedli — — —

Oczy ich patrzały w bezgraniczną dal . . .

Ścisnął jej rękę . . .

Lekko drgnęła . . . rozbudzając jego zmysłowość elastycznem uwydatnieniem drzących pod bluzeczką piersi . . .

Namiętny pocałunek złożył na jej wilgotnych, gorących ustach . . . Panowało tajemnicze milczenie, w którem się dusze całują i ściskają. Siedzieli znowu cisi, jaśni . . .

. . . Pyro czuł się pierwszy raz w życiu naprawdę kochanym. Meda ujrzała na twarzy jego jakieś zadumanie — zbladła.

— Dlaczego pan smutny — zapytała z miłością w głosie.

Podniósł na nią wzrok.

— Kocham panią, ubóstwiam bezgranicznie. Rozpętane szały zażega mi pani skrami swych spojrzeń w duszy. Płonę pani na ofiarę — bezwrotną. I przetom smutny.

Pochyliła się ku niemu, topiąc w nim lazurowe gwiazdy swych oczu.

— Żali pan naprawdę wierzy w swe słowa. Ofiaraż to tylko z pańskiej strony? — Ujął Ją za ręce i okrył gorącymi pocałunkami. Przytuliła się do niego, dotykając głową jego ramiona. Objął ją wpół. Strumień krwi młodej oblał Jej twarz, ciałem Jej wstrząsnął dreszcz rozkoszny.

— Co pan robi?... to grzech... puść mnie pan — odtrąciła go gwałtownym ruchem.

Zatoczył się z miejsca. Oczy jego rzucały dzikie spojrzenia.

Porwała się szybko i poczęła biedz w stronę miasta. Podążył za nią.

— Hehehe! I czegóż pani tak goni? Zobaczy kto i Bóg wie, jakie o nas poweźmie wyobrażenie — niesłusznie. Stójże Pani dla Boga!,..

Nie odpowiedziała, przyspieszając tylko kroku.

— Hehe! myślałem, że chociaż Pani będzie inną od Tamtej, że gdy pokocha, potrafi oddać się miłości, łamiąc wszelkie światowe względy. Łudziłem się, mieniąc miłość potęgą, łamiącą religie, obowiązki, prawa. Gdzietam!

Zaśmiał się szyderczo, zrównawszy się z Nią. Spojrzał na Nią bezwiednie i ujrzał dwie brylantowe po policzkach staczające się łzy.

— Pani płacze? — Zaniepokoił się. — No nie! przepraszam bardzo, nie chciałem urazić... to tylko tak... wyrzekło się... Panno Medo! Niechże się pani nie gniewa! No! jedno spojrzenie... Ujął Ją za rękę i ucałował. Spojrzała na niego — uśmiechnęła się przez łzy.

— Te łzy spiję, jak słodki nektar — osuszę gorącemi wargami.

Wyrwała się z jego objęć.

— Chodźmy już, spóźnię pociąg.

— Jeszcze raz tylko, jeden tylko pocałunek!

. . . .

Słońce konało w krwawym blasku własnego ognia.

Szli sami.

Czuli wielką radość z życia.

Szli, patrząc sobie w oczy, przez kwietne łąki i wyiskrzone perłami rosy pola...

Panowała święta cisza, którą od czasu do czasu przerywały słodkie akordy słowicze.

Wszystko stało ciche, nieruchome, zasłuchane w dźwięki pieśni, która zdawała się głosić spokój — a Pyrowi rozkoszne szczęście, po tej krótkiej burzy życia...

Wstąpili na tor kolejowy.

Szli w milczeniu, tak zajęci sobą, że nie widzieli nic dokoła . . . . . Szli . . . . . . marząc . . . . . Rozmawiali ze sobą wonią tych kwiatów polnych, purpurowymi promieniami zachodzącego słońca. Toczyli rozmowę dusz o zaświatach, kędy bezdenne szczęście mieszka, nigdy niewyczerpane.

— Kochasz mię, Medo?

— Pytasz jeszcze? Świadkiem te szczęsne chwile marzenia, które razem z Tobą przebywam...

. . . .

Słowa jego przerwał głuchy szczęk. Oglądnął się; ujrzał o krok za sobą zimne stalowe skrzydło lokomotywy. Drgnął. Pochwycił Ją błyskawicznie za ramię, aby Ją na bok usunąć. — Zapóźno...Porwało Ją skrzydło. Uczuł nagle dotkliwy ból w ręce. Stracił przytomność i potoczył się na twardy żwir...

. . . .

W szpitalu odzyskał przytomność.

Myślał o „Neczce"... myślał o tej, która dla chwilowej fantazyi czy zabawki obudziła jego miłość, a potem zawiodła to uczucie . . . .
myślał, czy przyjedzie na jego pogrzeb, gdy umrze, umrze . . . .
I widzi Ją bladą, smutną, z wyrzutem sumienia, jak kroczy za trumną . . . . . . Widzi Ją nad grobem . . . . . . mdleje . . . .
Odjeżdża . . . . . myśli jeszcze o nim przez tydzień, dwa, później zapomina o nim całkiem.

Nie żałował nawet teraz, że dla próżnej szlachcianki zmarnował życie, zerwał ze światem, z opinią. Stracił przytomność . . . . .

Meda wśród niepojętych męczarń, gasła... gasła jak słońce, a z nią ten ogień mistyczny, który Pyro tak wcześnie w jej sercu zapalił..... W malignie żądała kwiatów na grób, mówiąc ledwie dosłyszalnym głosem: „Pyro! zasadź mi fiołki na grobie..... tak! — Lubię fiołki . . . . Pyro leżał ciągle je-

szcze nieprzytomny... Zbudziła go podzwonna pieśń pogrzebowa, podniósł powieki i spojrzał na siedzącą obok zakonnicę . . . .

Przez otwarte okno wpływała fala świeżego wonią bzu przepełnionego powietrza . . . . . .

Przypomniał sobie wypadek.

Nerwowo rzucił się, podniósł głowę i rozglądał się po sali . . .

Szukał Jej oczyma . . .

Przez otwarte okno wpływała podzwonna pieśń pogrzebowa.

Drohobycz, w lutym 1906.

DRUKARNIA ARTYSTYCZNA. — LWÓW, SOBIESKIEGO.